

Arkadiusz Panasiuk

Radek jak Radom

Nigdy nie byłem w Radomiu. Mówię szczerą prawdę. To nagle „Radom” zjawił się u mnie, obok mnie, przy mnie. I trwał tak z przerwami aż do ciepłej jesieni 2016 roku. Miał kwadratowe szczęki, łysiejącą głowę i dłonie jak imadła. Radek, „Radzio”, zwany też „Nenią”. Był. Jest. Będzie.

Poznaliśmy się na egzaminie wstępnym na gdańską uczelnię. Tak o tym pisałem w niszowym zinie, w liczbie stu egzemplarzy, którego byłem jedynym wydawcą i redaktorem naczelnym. „**On się nie dostał, a mnie, Eskimosa, przepchnął pewien Stary Pisarz z Wysp. To przemily Facet. Potrafił upić się z Żułami ciepłym Piwkiem, wyklócać się z nimi o wiarę Dostojewskiego, a potem głęboką Nocą dzwonić do młodszego od siebie Pisarza i Poety z pytaniem, czy ten go jeszcze kocha? - Kocham cię, kocham! - odpowiadał heteroseksualnemu, Staremu Pisarzowi żonaty, heteroseksualny i zaspany Młodszy Pisarz i Poeta, a następnie odkładał słuchawkę. Taka sytuacja powtarzała się kilka razy w Nocy. Potem widzieliśmy jak ciężko dysząc, wspinał się na piętro, gdzie mieliśmy swój Instytut. Wykłady prowadził znużony. Panie go nie lubiły: „*Niech się Panie zastanowić, po co tu przyszły? Zdobyć Dyplom, czy rozwijać Pasję? Dyplom zawsze można zdobyć, ale Pasja jest wynikiem Pasji. Trzeba coś czytać, zadawać pytania, poszukiwać, a nie tylko malować paznokcie!*”.** Po takiej mizoginicznej tyradzie ostentacyjnie schodził z Katedry”. Przez rok Radek, „rodzony Brat Światowej Klasy Ciężarowca, plątał się bez celu po Wyspach. Bardzo się polubiliśmy, bo byliśmy mniej więcej w tym samym wieku, obaj wychowani na Punk Rock Musik. (...) Był duszą towarzystwa w tym sensie, że kiedy sobie podpiał, okazywał się najzabawniejszym i najdowcipniejszym Mężczyzną pod słońcem. Jako dwudziestolatek siedział w Bastylii, nigdy nie płacił za Izby, a w kapeli grał na Basówce”.

Już tłumaczę. Miał za sobą więzienie za pijackie wtargnięcie do kościoła, z którego nic nie ukradł, tylko umęczony w nim zasnął. Ale przecież nieboszczka komuna ostro karała za takie występy.

Nigdy też nie płacił rachunków za izby wytrzeźwień, mandatów za jazdę na gapę i udzielał się jako gitarzysta basowy w jednym z wielu zespołów rockowych, jakie powstawały w Radomiu w latach 80. ubiegłego wieku. Jak w całym Pereelu od morza do Tatr.

„Czarni Radom”. Nie podstawowy skład, ale i ten epizod miał w życiorysie. Brat jest księdzem. W młodości trenował podnoszenie ciężarów.

A potem zdarzył się Cud. Przestał pić. Tak z dnia na dzień. I już nie wychodził z kościoła do tego stopnia, że nawet złożył podanie do dominikanów. Drugiego cudu jednak nie było. Nie został mnichem, bo w okresie próbnym wyszło, że jest osobowością autonomiczną, niezależną, ciężko poddającą się grupowej obróbce. W tym sensie żołnierzem byłby równie marnym. Ku chwale ojczyzny.

Ale na Kościół nigdy się nie obraził, trzymał się Go pazurami, cierpliwie, uparcie. I zamiast flaszek z wódką obdarowywał przyjaciół książkami. „Sobór Watykański II” z dedykacją: „Drogi Arku! Ofiarowuję Ci tę książkę jako wyraz wdzięczności za wszelkie dobro, jakie mi kiedykolwiek uczyniłeś. Radek. Gdańsk 26.10.2008 r.”.

Katastrofa pełzła powoli, konsekwentnie, do samiutkiego końca. Jest taka opowieść – może nawet od niego ją kiedyś słyszałem? – że ludzie powaleni nieuleczalną, śmiertelną chorobą wchodzą do Nieba bez trudu, śpiewając jak męczennicy w butach z żelaza, poćwiartowany ku uciechu motłochu na tym łez padole.

W telewizorze piłkarska drużyna wydawała się nie do zatrzymania, a nasz towarzysz, sparaliżowany od stóp do głów, z żywym tylko jednym okiem, niemy posąg z Maroussi szykował się do podróży we Znane i Przeczuwane.

Nie wiem, dlaczego wtedy nie poryczeliśmy się jak dzieci – Darek, Damian i ja. Mija siedem lat. Radom pozostaje we mnie. Do zobaczenia, wcześniej, albo później.

Arkadiusz Panasiuk – dziennikarz-freelancer. Mieszka w Hajnówce, na skraju Puszczy Białowieskiej. Lat 56.